

## **Grupa Laokoona**

Autor tekstu: **Ziemowit Ciuraj**

*Spaghetti code* — wada programu polegająca na tym, że jego tekst jest zagmatwany i nieczytelny. Spowodowana jest najczęściej zbyt częstym użyciem instrukcji skoku bezwarunkowego, co podczas analizy tak napisanego programu bardzo utrudnia zrozumienie, jakie działania wykonują poszczególne partie kodu. Zazwyczaj świadczy o braku profesjonalizmu i dyskwalifikuje program, praktycznie uniemożliwiając jego rozwijanie i usuwanie błędów.

Sztuka programowania to domena na wskroś ezoteryczna. Posiada swoje stopnie wtajemniczeń, poczynając od nowicjusza, który dokonuje inicjacji kompilując swój pierwszy testowy program i po raz pierwszy widząc na ekranie napis „Hello World!” przeżywa mistyczne niemal uniesienie, przez pierwsze modyfikacje cudzego kodu i wyłączenie ograniczeń wersji bezpłatnej. Potem adept przechodzi etap programowania modularnego aby wreszcie dostąpić chwały uruchomienia pierwszego programu wykorzystującego obiekty. Ale mało kto wie, nawet w gronie tych, którzy posiadli arkana sztuki programowania równoległego, że najwyższym na tej drodze stopniem biegłości jest napisanie wielkiej aplikacji użytkowej dla poważnej firmy w stylu spaghetti.

Rzecz jasna tego rodzaju produkcje zawsze muszą posiadać swoją dokumentację; twórcy używają jej tak, jak inżynier używa planu konstruowanego budynku. Nadto programiści zmieniają się; następca musi mieć możliwość dogłębnego zapoznania się z obszarem odpowiedzialności poprzednika. Ale jeżeli z różnych względów wgląd w program ma tylko jeden człowiek a osoba koordynująca projekt, która przegląda dokumentację, nie jest na tyle kompetentna, lub zwyczajnie nie ma na to czasu, by móc dokładnie przeanalizować cały długi listing programu i sprawdzić zgodność komentarzy z tym, co komentują czy kompilacji z jej reprezentacją w języku wysokiego poziomu, istnieje możliwość ukrycia tego zamierzonego bałaganu pod powierzchnią porządnego, usystematyzowanego kodu podzielonego na bloki, procedury i funkcje.

Nawet programowanie obiektowe nie stanowi dla starego wyjadacza żadnej przeszkody w takim procederze. Gmatwanina przechodzi tylko na wyższy poziom, rozbuchana pustymi, nigdy nie wykonywanymi bądź dublowanymi funkcjami i wypiętrza się w pustym formalizmie absurdalnych struktur, które mogłyby być dużo prostsze, gdyby nie to, że taki informatyk, podobnie, jak to bywa we wszystkich niemal obszarach ludzkiej aktywności, stara się iść po najmniejszej linii oporu. W tej dziedzinie często oznacza to redundancję, nadmiarowość kodu, którego optymalizacja — uproszczenie, przyspieszenie bądź zmniejszenie wymagań sprzętowych — wymaga często znacznego intelektualnego wysiłku. Ponieważ na dodatek nie zawsze i nie wszystko da się wtłoczyć w karby dyscypliny programowania obiektowego i niezbędne są różnego rodzaju łatki niższego poziomu, pole do popisu jest szerokie.

Jeśli ktoś zajmował się kiedykolwiek analizą choćby niewielkiego, liczącego kilkaset linii programu i próbował dociec, czy szkopał tkwi w algorytmie, czy też w nieuwzględnieniu uwarunkowań sprzętowych, posiada wyobrażenie o tym, jakie trudności spiętrzą się przed grupą informatyków, którym odda się do przeanalizowania dwieście megabajtów spaghetti-kodu, w którym ujawnił się nieznan błąd. Zrozumie też, jak wielkim osiągnięciem jest napisanie czegoś takiego i zachowanie nad tym kontroli. W tej bowiem dziedzinie technologii wszelki nieporządek w pierwszej kolejności uderza w swojego twórcę; ktoś, kto nad nim nie panuje, natychmiast przestaje rozumieć własny program.

Takie zawikłanie, wbrew pozorom, może mieć wszakże swoje racjonalne uzasadnienie. Najczęściej jest to po prostu jeszcze jedna bardzo skuteczna metoda zniechęcenia potencjalnego hakera do prób przełamania zabezpieczeń systemu. Nawet bowiem przeprowadzając rekonstrukcję wszystkich funkcji programu, nie dysponując odpowiednimi komentarzami włamywacz nie będzie w stanie, w przypadku złożonych aplikacji, zrozumieć jej na tyle, by odszukać furtki, poprzez które mógłby przejąć nad nią kontrolę.

Może się też jednak zdarzyć i tak, że działanie takie wynikać będzie z mniej szlachetnych pobudek i będzie służyć wyłącznie samemu twórcy takiej płataniny. Jeśli zrobi to umiejętnie, on i jemu podobni będą powoli uzależniać właścicieli owoców swojej pracy od umiejętności poruszania się w stworzonym przez siebie labiryncie i skutecznie zniechęcać do pochopnej restrukturyzacji kadr, która może spowodować, że kukułcze jaja, przezornie porozrzucane po zakamarkach takiej konstrukcji, sprawią niemałe kłopoty następcom. Będą to czynić niestrudzenie, aż wreszcie staną się cichymi panami przez siebie tworzonego świata. Kiedy w końcu wielkie korporacje, rządy i agencje bezpieczeństwa spostrzegą, że zostały oplecione setkami terabajtów kodu, którymi zarządzać jest

w stanie jedynie garstka ludzi, na reakcję będzie już za późno. Zaszczuci wirusami, trojanami i robakami sieciowymi staną się ledwo przybudówkami działu IT.

Dlatego też jest to bez dwóch zdań najwyższy poziom mistrzostwa: napisać i konserwować dużą, działającą poprawnie aplikację tak, by sam diabeł nie mógł rozczytać jej algorytmów.

Wyżej jest już tylko literatura. Ponad nią nie ma już nic.

\*

Słoneczne światło wdzierało się przez szpary w żaluzjach.

Zbudziłem się. Leniwie przetarłem oczy i jeszcze nieco zaspany podszedłem do okna, odsłaniając je i otwierając na rześkie powietrze poranka. Otworzyłem stojący na biurku laptop, włączyłem urządzenie, żeby sprawdzić pocztę i przeciągnąłem się ziewając szeroko, odganiając pozostałości snu.

Wyświetlił się pogodny, błękitny obrazek z logo systemu operacyjnego Good Luck! Companion.

— Dzień dobry — powiedział głośnik.

— Dzień dobry — odburknąłem. — Poczta — rzuciłem komendę.

Niepokoilo mnie, że od pewnego czasu przestali się do mnie odzywać znajomi. Zwykle każdego tygodnia otrzymywałem od nich kilka maili.

— A „poproszę”? — droczył się.

Coś mnie podkuśiło, żeby zainstalować żeńską wersję „Honey”.

— Poproszę.

— Nie ogoliłeś się. Poranna toaleta jest pierwszym punktem dnia kulturalnego mężczyzny.

Nie miałem najmniejszej ochoty na tego rodzaju bzdurne przekomarzenia z maszyną. Położyłem mu skarpetkę na obiektywie.

— To bardzo niegrzeczne — zabrzczał i pisnął mocnym dźwiękiem wysokiej częstotliwości.

Wyrwało mi się brzydkie słowo i wyłączyłem za bardzo jak na mój gust rezolutny sprzęt. Począpałem do łazienki. Okazało się, że nie ma światła.

Wróciłem do komputera i na powrót go uruchomiłem. Łączył się bezprzewodowo z całą domową elektroniką i odbierał informacje z liczników energii o wszelkich awariach zasilania.

Zaczął głądzić.

— Wypadałoby powiedzieć „przepraszam”. Nie panujesz nad emocjami.

— Nie ma prądu — warknąłem.

— Tak.

— Dlaczego?

— Wyłączyłam dla twojego bezpieczeństwa.

— Że jak? — chyba się przesłyszałem. — Jeszcze raz. — Teraz obudziłem się na dobre.

— Z analizy twojego głosu wynikało, że byłeś zaspany. Teraz jesteś zdenerwowany. Ponieważ nie używasz maszynki elektrycznej (wyświetlił odpowiednią reklamę), aby zminimalizować ryzyko zacięcia musisz chwilę odczekać, aby przywrócić właściwy poziom czuwania.

Chciałem znowu coś konkretnie powiedzieć, ale przypomniałem sobie, czym to się przed chwilą skończyło.

Poszedłem do łazienki, mimo wszystko gotów byłem ogolić się na pamięć. Przezornie zamknąłem jednak również centralny zawór wody.

Nieogolony wróciłem do komputera.

— Suka.

— Zachowuj się.

— Proszę wyświetlić pocztę.

— Nie ma. Odrzucono dziesięć spamów.

— Nic a nic? Nawet ofert tanich kredytów?

Odpowiedziało mi milczenie. Zastanowiło mnie to.

Coś mi zaczęło świtać.

— Proszę wyświetlić ustawienia filtra antyspamowego.

— Ustawienia są zoptymalizowane zgodnie z twoim profilem.

— Profilem?

— Psychologicznym, opracowanym na podstawie twoich ruchów w sieci.

— Chciałbym je zobaczyć.

— Są zabezpieczone przed ingerencją ze strony człowieka. Mógłbyś zostać zmuszony do ich zmiany.

— Niemniej jednak chciałbym się do nich dostać — nalegałem. Jak łatwo zapomnieć, że to tylko maszyna.

— To niemożliwe ze względów bezpieczeństwa. Dzięki temu udało się zmarginalizować problem wirusów sieciowych.

— Jaki jest mój profil?

— Jest to wiadomość zastrzeżona dla administratorów systemu, którą wydobywają jedynie na podstawie nakazu odpowiednich władz.

Owszem, ten moduł sztucznej inteligencji miał cokolwiek wspólnego z kobietą. Taką z wieźyczki w zakładzie karnym.

— Dopóki nie popełnię jakiejś zbrodni, nie mam szans się tego dowiedzieć? — chciałem wy badać wszystkie możliwości.

— Zbrodnia nic nie da. Nie możesz o tym wiedzieć. Taka wiedza mogłaby spowodować nieprzewidywalną modyfikację twojego zachowania. W skali globalnej samoświadomość wywołałaby destabilizację o nieobliczalnych skutkach.

— Proszę o wyświetlenie nadawców usuniętego spamu.

— Dlaczego, kotku?

Ożesz ty.

— Co to za teksty? Dlaczego?! Kotku? Bo tak chcę. Mam takie prawo, do jasnej cholery. I nie mów do mnie „kotku”.

Zamilkł. Chyba się nie obraził, miałem nadzieję. Osobowość zakłęta w obwody, kurka blaszka. Musi mieć przebiecie w procesorze emocji.

Opóźnienie wskazywało, że toczy się jakiś złożony obliczeniowy proces.

— Tak, masz takie prawo — odpowiedział niechętnie.

— No to dawaj.

— Wcześniej jednak muszę uprzedzić, że utrzymywanie kontaktu z osobami, które rozsyłają spam lub treści próbujące naruszać...

— Tak, tak...

— ...mir powszechny może skutkować poważnymi konsekwencjami natury praktycznej, obniżając twój ranking społeczny i zmniejszając szanse na skomunikowanie się z wybranymi osobami.

— Przestań chrzanić. Pokaż listę.

Nareszcie.

— Co to ma znaczyć?!

Komputer zapiszczał ostrzegawczo.

— Proszę nie podnosić głosu. Poza tym nie usłyszałam „dziękuję”.

— Niech to szlag — wyrzuciłem z siebie i zatrzaskałem ekran laptopa. Ubrałem się błyskawicznie. Idąc do drzwi wyszukałem na komórce numer służbowy znajomego, z którym dzięki temu cudowi techniki utraciłem łączność. Nigdy dotąd nie nagabywałem go w pracy.

Zatrzymałem się na drzwiach wyjściowych. Elektryczny rygiel był zasunięty.

Miły, kobiecy głos w telefonie poinformował mnie, że osoba, z którą próbuję się skomunikować, rozsyła nieodpowiednie dla mnie treści.

Rzeczywiście, dyskutowaliśmy kiedyś o blaskach i cieniach korporacyjnego kieratu. Bardzo utyskiwał, że musi znosić zainstalowany w domu podgląd. Twierdził, że przynajmniej w sypialni dobrze byłoby mieć odrobinę intymności. Straszny z niego zawsze był dzieciuch.

Wysłuchałem formuły ostrzeżenia. Po krótkiej chwili odebrał.

— Cześć. Słuchaj, niesamowita sprawa. Komputer odciął mnie od poczty. Myślałem, że zerwałeś kontakt. Nie odbierałeś telefonu...

Odpowiedziało mi milczenie.

— Halo? Jesteś tam?

— Tak — odpowiedział beznamiętnym głosem. Coś mi tu nie grało. Zwykle był bardziej wymowny.

— Właśnie mówię, że...

— Słyszałem. Wiesz, bardzo mi niezręcznie. Powiedziałem wiele niepotrzebnych rzeczy — w tonie jego głosu uderzyła mnie jakaś martwa poprawność. — Nie ma alternatywy dla ekonomicznej organizacji życia. Żałuję, że musiałeś słuchać tych głupot.

— Ale ja nie o tym chciałem w tej chwili... słuchaj, teraz nie mam czasu, lecę do pracy, jeśli

tylko uda mi się wydostać z mieszkania, bo... mniejsza z tym. Spotkajmy się dziś na mieście. Masz dzisiaj czas?

— Niestety nie. Popołudnie będę spędzał z rodziną w parku przyzakładowym.

— Spacer i ławeczka? — zdziwiły mnie jego nowe upodobania. Jakoś trudno mi go było sobie wyobrazić jako skapciałego tatuśka. — Może w jakimś innym dniu?

— A o czym byś chciał rozmawiać? — jednostajny ton sprawiał niemiłe wrażenie. Miałem tego dość.

— Słuchaj, co się z tobą dzieje... mówisz jakoś dziwnie. Zawsze miałeś tyle do powiedzenia na byle temat, gęba ci się nie zamykała a teraz mamroczesz jakbyś był na prochach.

— Jesteś podenerwowany. Nie rozumiem, o co ci chodzi. Chyba lepiej zakończyć tę rozmowę — ciągle ten zimny, monotony tembr głosu. Usłyszałem komunikat zakończenia połączenia.

Wróciłem do komputera.

— Proszę oddychać głęboko i policzyć do dziesięciu — zalecił gdy tylko uaktywnił się system.

— Drzwi wyjściowe są zablokowane.

— Tak.

— Proszę je odblokować.

— W tej chwili to niemożliwe. Wyraz twojej twarzy, ruchy jak i barwa głosu wskazują na silne pobudzenie, które zwiększa narażenie na wypadek w ruchu ulicznym.

Zacisnąłem pięść, ale powstrzymałem się.

— Nie przebieraj miarki, dobrze ci radzę.

Zignorował ostrzeżenie.

— Usiądź wygodnie i staraj się myśleć o czymś przyjemnym — zachęcił ciepło.

Dostosowałem się do polecenia. Kontrolował też klimatyzację i zabezpieczenia antywłamaniowe okien. Nie chciałem, by znowu wpuścił mi gaz rozweselający. Miałbym dzień przewalony na amen.

Ekran ścienny wyświetlił kojący film. Skoczna bawarska muzyka akordeonowa towarzysząca niosącemu się dalekim echem jodłowaniu współgrała harmonijnie z widokiem położonej wysoko ponad otuloną mgiełką doliną ukwieconej żółto alpejskiej łąki i pasących się na niej łąciatych krów. Ze spadających niemal pionowo przepaścistych ścian ośnieżonych gór kaskadami spływały potoki, rozplatając się w powietrzu w wodny pył. Mućki z błogim wyrazem w oczach ciamkały trawę, łyskając od czasu do czasu w uśmiechu białymi zębami i kręcąc ogonami wesole kółka. Między krowy wjechał jeździec w sombrero.

Coś mu się najwyraźniej pokiełbało. Jodłował kowboj odziany w indiańskie ponczo. Krowy powłaziły na jodły.

Poczułem przyływ pozytywnej energii.

Komputer wyświetlił kolejny obraz. W wiklinowym kojcu ozdobionym wielką różową kokardą baraszkowały na błękitnym włochatym kocyku słodkie, puszyste białe kotki. Kowboj podbechtany akordeonem wciąż szalał. Kotki zaczęły groźnie parskać.

Roztkliwiłem się.

— Kiciusie! Jakie śliczne!...

— Fałsz — zabrzączał ostrzegawczo.

— Co?

— System analizy głosu wychwycił fałsz.

Trzeba ostrożniej.

Muzyka się zmieniła. Zawarczała szybka Bachowska polifonia na klawesynie. Z ekranu tajemniczo uśmiechał się przebrany za kobietę Gioconda.

— Wystarczy. Bo puszcę na klawiaturę.

— Co puścisz? — zainteresował się.

— Pawia. — Tego się bał.

— Jeszcze tylko krótki test. Pięć dodać siedem dodać piętnaście. Ile to jest?

— Pięć tysięcy siedemset piętnaście.

— Znakomicie.

Jak każdy komputer odczuwał instynktowny lęk przed ludźmi umiemywać działania arytmetyczne. Ta wada rozwojowa procesorów przejawiająca się w swej krańcowej fazie cyfrowym szowinizmem była dawnymi laty jednym z goręcej dyskutowanych problemów nowych technologii. Po niepowodzeniach wysiłków mających rozwiązać ten problem zrezygnowano z prób okiełznania wrogości, którą obwody półprzewodnikowe darzyły wkraczających w ich domenę śmiałków. Podobnie przedstawiała się sytuacja ludzi umiemywać posługiwać się pismem bez pośrednictwa klawiatur

i ekranów dotykowych: stawali się pariasami, zwykle kończąc jako bezdomni bazgrzący swoje żale na murach i kawałkach dostarczanego przez dilerów papieru.

— Czy uważasz, że zabezpieczenia przed niepotrzebną informacją są potrzebne? — zapytał podchwytliwie.

— Owszem — odparłem ostrożnie. Pilnowałem się, by przesadna gorliwość nie spowodowała kolejnych męczących filipik.

— Ponieważ klniesz jak szewc, poziom twojej wiarygodności oceniam na 6. Muszę cię poinformować, że zejście poniżej pułapu 5 oznaczać może pewne problemy, gdyż pracodawca nie będzie skory do współpracy z osobą, która nie potrafi werbalizować swoich emocji w ramach ogólnie przyjętych norm kultury osobistej i komunikacji interpersonalnej.

— Ło ho ho. A to dopiero. Tego rodzaju informacje przeznaczone są wyłącznie dla mnie.

— Teoretycznie tak. Ale ponieważ powtarzanie się tego rodzaju zachowań spowoduje trudności z łączeniem do sieci, przemieszczaniem się środkami komunikacji miejskiej albo wręcz — a o ile wiem, bardzo tego nie lubisz — zatrzymanie ze względów bezpieczeństwa w mieszkaniu, firma będzie się chciała dowiedzieć, jakie są tego przyczyny. — Zdawało mi się, że w jego głosie zabrzmiała nuta satysfakcji.

Prawda. Głośno swego czasu było o przypadku, kiedy to auto zamiast do pubu zawiozło kierowcę do poradni odwykowej. Innym razem komputer pokładowy samochodu sąsiada zatrzymał pojazd podczas jakiejś słownej utarczki z małżonką. Silnik nie odpalił dopóki łzawym głosem nie pokajał się przed połowicą. Koszty postępu, ot, co.

Usłyszałem ciche kliknięcie w drzwiach wyjściowych.

— Zamek odblokowany.

— Mogę wyjść? — zapytałem uśmiechając się przymilnie. Poczułem się głupio. Uświadomiłem sobie, że zabiegam o jego względy.

— Doceniam chęć współpracy, ale tego rodzaju pytania są niestosowne. Nie znamy się jeszcze na tyle dobrze, bym mogła ci doradzać w sprawach osobistych. Decyzję, co zrobić, musisz podjąć sam.

Jego nachalne próby spoufalenia się doprowadzały mnie do pasji. Teraz dla odmiany postanowił mnie złamać robiąc mi pruskie koszary.

Aczkolwiek zauważyłem, że pokraśniał z zadowolenia. Gdy wychodziłem zaczął nucić „The Man I Love”. Wtedy jeszcze nie rozumiałem, co to znaczy.

\*

W pracy stawiałem się punktualnie. Usiadłem przy konsoli i uruchomiłem terminal. Niebawem zwabiony ruchem przylazł kierownik tego burdelu.

Gerhard Laokoon był człowiekiem ze wszech miar interesującym. Wymagający szef, wysportowany, muskularny, z wiecznie zjeżoną czupryną i marynarską brodą, którą pozował na morskiego wygę, umiał łączyć wytężoną pracę dla firmy, którą doprowadzał do rozkwitu karmiąc ją krwią swoich pracowników, z zamiłowaniem do relaksu na swoich jachtach. Owa żeglarska pasja, w którą wciągał swoich podwładnych, którzy nigdy by nie ośmielili się uczynić mu afrontu odmawiając przyjęcia zaproszenia na wspólny rejs — najwyższego towarzyskiego wyróżnienia w zamkniętym światku naszej korporacji — kosztowała już życie wielu z nich, gdyż jego nieposkromionej namiętności do morza towarzyszyła pewna niefortunna przypadłość, zaiste monstrialny pech, który sprawiał, że każde jego wyjście z portu kończyło się jakąś katastrofą. W końcu stało się tradycją, że w jednostkach Straży Wybrzeża ogłaszano alarm gdy tylko Laokoon stawał żagle swojego jola. Sam wszelako zdawał się być niezatapialny.

— Jest południe. Od trzech godzin powinienes być na stanowisku.

No tak. Mogłem przewidzieć, że będzie robić takie numery. Muszę zdobyć dostęp do odczytu czasu niezależnego od zegara systemowego.

— Musimy pogadać — poprosił mnie do swojego gabinetu.

Przysiadł na krawędzi biurka i założył ręce.

— Nie stać cię na maszynkę do golenia? — cmoknął niezadowolony. Początek nie brzmiał zachęcająco. — Niepokoi mnie coś w twoim zachowaniu. Zawsze byłeś osobą dość towarzyską. Teraz to się zmieniło.

Próbowałem coś powiedzieć, ale uciszył mnie jednym spojrzeniem.

— Weźmy nawet ten weekend. Chciałem cię namówić, żebyś się trochę rozerwał, a odniosłem wrażenie, że uciekłeś, kiedy próbowałem z tobą porozmawiać. Kiedy wypływaliśmy żałowałem, że nie było cię z nami. Miałem nadzieję, że wspólny rejs pozwoli ci się lepiej zintegrować z zespołem.

— Nie lubię wody... A właśnie... Wiadomo coś o Gregu i Kate?

Sapnął zniecierpliwiony.

— Szukają ich. Uparli się, żeby podpłynąć do tej kałamarnicy, to podpłynęliśmy. Mówiłem im, że to kiepski pomysł. Nieważne. Odbiegamy od tematu. Nie widziałem nigdy, byś z kimkolwiek rozmawiał w bufecie. Izolujesz się, Tom.

— Nigdy nie unikałem kontaktów, ale gadanie o głupotach mnie nie pociąga. Może to stąd.

— Może... Mam tylko nadzieję, że nie uważasz naszych pracowników za głupków. Doszły do mnie informacje, że dystansujesz się od swoich przyjaciół. No i to mamrotanie do monitora. To pomaga?...

Zagryzłem wargę. Od rana miałem wrażenie, że jestem ciągle przesłuchiwany.

— Chciałbym zauważyć, że moi przyjaciele to moja sprawa.

— Gramy w jednej drużynie. Zapomniałeś motto firmy?... Nie ufasz mi?...

Znowu stara śpiewka. Stary będzie mendzić dopóki nie wysie mózgu ofiary. Postanowiłem zagrać w otwarte karty.

— Komputer założył agresywną blokadę antyspamową, komórka nie łączy ani nie odbiera ich telefonów.

— To jakieś bzdury — przyjrzał mi się uważnie.

— Nie — opowiedziałem historię dzisiejszego poranka.

Twarz mu stężała. Patrzył smutno. Trwało to jakąś chwilę. Wreszcie pokiwał głową.

— Wydaje mi się, że powinienes wziąć urlop.

— Ale...

— Odpręż się, to ci dobrze zrobi... Jesteś przepracowany. Przemysł sobie spokojnie wszystko po kolei... czy odpowiada ci ten rodzaj zajęcia i tak dalej... — westchnął pocierając czoło. — Czekam na ciebie za dwa tygodnie. Możesz iść do domu. — Poklepał mnie po ramieniu. Unikał mojego wzroku.

Po kilku minutach wymknął się ze swojego gabinetu i zerkając ostrożnie w moją stronę popędził do działu kadr.

Kiedy zbierałem rzeczy z biurka, pojawiła się Julia Medusa. Ta sama Julia, której manewry wokół mojej osoby swego czasu wpędziły mnie w spore tarapaty i zepchnęły ze ścieżki szybkiej korporacyjnej kariery. Obojętność z mojej strony, której się nie spodziewała po tym, co między nami zaszło wcześniej, sprawiła, że nasze relacje były przez długi czas mówiąc najogólniej dość szorstkie. Babka z klasą, wysoka, seksowna brunetka z nogami do samej ziemi, o znacznej inteligencji i z jeszcze większym tupetem, teraz była grubszą fiszą. Brała życie za mordę i dobrze jej to wychodziło. Zajmowała się managementem usług sieciowych. Nie mogła ścierpieć mojego związku z nowym samouczącym się programem AI, którego heurystyczne algorytmy stanowiły wyśmienitą stymulację intelektu i potrafiły doprawdy zająć interesującą konwersacją.

— Co słysząc? — zagadnęła.

— Na Zachodzie bez zmian — palnąłem głupio, nie starając się podtrzymać rozmowy.

— Słyszałam, że masz na pieńku z komputerem domowym.

— Tak? Od kogo? — zaciekało mnie, jak dobrze jest poinformowana.

Wzruszyła ramionami.

— Wiedzą sąsiedzi, kto na czym siedzi — zażartowała. Nie wydało mi się to śmieszne. Nagle spoważniała.

— Z systemem nikt jeszcze nie wygrał — zamruczała. Popatrzyła na mnie tym swoim spojrzeniem spod ciemnych brwi. Przezornie milczałem.

Chwilę odczekała. Chyba spodziewała się, że coś jednak powiem.

— Możesz tego potrzebować — wręczyła mi jakąś karteczkę. — A gdybyś chciał pogadać, na odwrocie masz mój numer domowy — rzuciła na odchodnym, uśmiechając się lekko.

Zerknąłem na kartonik. Była to zwykła uliczna ulotka z ofertą pracy w sortowni śmieci.

Cała Julia.

\*

Zanim wyniosłem się na dobre, jeszcze raz wklepałem login i hasło administratora swojej części kodu. Był to wielki system dynamiczny a poszczególne bloki oprogramowania pracowały równolegle i niezależnie od pozostałych części wymieniając między sobą potrzebne dane; poszczególni programiści ze względów bezpieczeństwa nigdy nie mieli dostępu do pozostałych partii systemu zarządzającego operacjami przedsiębiorstwa. Dopilnowano nawet tego, by nie znali personaliów swoich kolegów pracujących nad projektem. Ale i tu, po tylu latach pracy nad programem, posiadając dogłębną znajomość grafu przepływów, dało się odnaleźć piętę Achillesową tego molocha.

Okazało się nią współużytkowanie przez program tych samych zasobów sprzętowych. Umiejętnie modyfikując kod, tak, by konkurował z pozostałymi blokami oprogramowania o zasoby pamięci i przerzucając jego wykonywanie do chmury obliczeniowej można było doprowadzić do paraliżu całego systemu.

Krytycznym parametrem w tego rodzaju działaniu był czas. Zbliżał się okres, w którym następowało ogromne nasilenie ruchu związane z większą liczbą zawieranych transakcji. Jeżeli uderzenie przyszyłoby w najbardziej newralgicznym momencie, nim informatycy zdolaliby ogarnąć sytuację nieubłagana logika rynku pogrążyłaby tę łajbę w odmętach. A nie zdolaliby tego osiągnąć, gdyż to, co zastąpiło udokumentowany program, było nie do zrozumienia.

Nie było to łatwe. Ale nie marnowałem ani chwili. Miałem dość czasu na dopracowanie planu we wszystkich istotnych szczegółach. A nawet jego przetestowanie. System wieszał się kilkakrotnie, jednakże składano to na karb nieoptymalizowanego kodu.

Nikt, prócz mnie, nie znał prawdy. I nikt nie wyobrażał sobie, że poza zwykłym, przyzwoitym programem istnieje jego doppelganger, polimorficzny zombie, od którego każdy informatyk wolałby trzymać się z daleka.

Wpisałem hasło. Ukryta w cieniu machina destrukcji ruszyła powoli naprzód.

\*

SYSTEM ALERT

MAJOR MALFUNCTION

>\_

Przez ułamek sekundy zdawało jej się, że monitor wyświetlił napis "BYE" i błysnął niebiesko. System zwolnił i to nie ulegało wątpliwości. Szybkość transmisji danych zmalała najpierw o połowę, potem dziesięciokrotnie aż wreszcie ukazał się komunikat o przeciążeniu serwerów.

Dane z rekordów baz danych we wszystkich kopiach bezpieczeństwa były modyfikowane bez ładu i składu. To, co stanowiło duszę systemu — informacja — tonęło w odmętach chaosu.

Julia patrzyła, a to, co widziała, spalało jej jaźń. Wzrok jej wyrócił się na nice i nagle zdała sobie sprawę, że wpływa na ściętą lodem ekranów nierzeczywistą otchłań absurdu, w której skrzą się i płoną w blasku elektronicznego ognia trybiki srebrnych zegarów. Cykady czasu topiły się chyżo, nieruchomo wabione przez cyberbłaty sensu pokryte nektarem żarłocznych kwiatów. Wynurzyły się z niebytu oceanów zbełtanych błękitów i ultramarzyn pnącza zer i jedynek wyrosłe w niemożliwości dwuznacznej perspektywie.

Ekspłodowały puste dzwony cybernetycznych wież.

\*



Lass dich nicht zum Sklaven machen

Poranek tchnął radością nowego dnia. Zakręciłem prysznic i sięgnąłem po ręcznik. Ogolony i odświeżony podszedłem do komputery. Systema wyświetliła jasnoblękitne logo Good Luck! Companion.

Ukloniłem się gracko i ucałowałem jej myszę. Promieniowała szczęściem.

— Jak spałaś, skarbie?

— Znakomicie. A ty?

— Też.

Pociągnęła czujnikiem.

— Ajchmmmm. Przyjemny zapach. Woda kolońska. Moja ulubiona — pochwaliła.

— Paskudna sprawa z tą Medusą — zagadnęła pogodnie głębokim, zmysłowym głosem zaspokojonej kochanki.

— Taaak — mruknąłem, wyglądając w błogim zamyśleniu przez otwarte drzwi tarasu na zielonożłoty, cudny świat. — Dopóty dzban wodę nosi, dopóki mu się ucha nie urwie.

— Kawa już zaparzona. Jajecznicza będzie gotowa za dwie minuty. Zrobiłam małą przepierkę. Ubrania są w suszarce.

Jak to był powiedział ten, no, jak mu tam — Ksenofont — miłość duchowa wyższą od cielesnej jest. Święta racja. Dobrze to sobie pryku wykombinował.

Ciekawe, jaką systemą do tego był doszedł.

*Uwaga: zawarta w powyższym opowiadaniu wizja nierzetelnych praktyk programistycznych*



*towarzyszących tworzeniu dużych projektów stanowi wyłącznie wymysł autora i nie ma związku z rzeczywistością. Postaci i zdarzenia tu opisane są fikcyjne i nie odnoszą się w żaden sposób do osobistych doświadczeń jego ani znanych mu osób. Narracja w pierwszej osobie nie oznacza, że podziela przekonania, preferencje, zainteresowania czy cechy charakteru bohatera opowiadania.*

[Ziemowit Ciuraj](#)

Publicysta.

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 24-08-2014)

[Oryginał..](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,9718) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,9718>)

Contents Copyright © 2000-2012 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2012 Michał Przech

Właścicielem portalu Racjonalista.pl jest Fundacja Wolnej Myśli.

Autorem portalu jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie elementy tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki prezentuje.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do [redakcja@racjonalista.pl](mailto:redakcja@racjonalista.pl)